

Polska w labiryncie romantyzmu

Marek Jurek

Romantyzm to część polskiej tożsamości, ale wielkość polskiego romantyzmu polegała przede wszystkim na zmaganiach romantyzmu z samym sobą. Mickiewicz, Krasiński, przede wszystkim Norwid – byli nie tylko romantykami, byli katolikami. W pełni zdawali sobie sprawę z tego, jak łatwo wiara w wyjątkowość własnego przeznaczenia ześlizgnąć się może z gruntu realizmu – odpowiedzialności za ludzi. Dzięki tej świadomości potrafili stawiać pytania o prawo. Krasiński, którego złamane życie nie pozwoliło na osobisty udział w zbrojnej walce o niepodległość, dostrzegał przy tym jak bardzo romantyzm karmił się poczuciem nudy, potrzebą gestu, pragnieniem wyjątkowości. Norwid domagał się związania sprawy niepodległości Polski z katolickim uniwersalizmem. Mickiewicz był pewien, że „cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska”. W ostatnich latach życia niechętnie wracał do *Dziadów*, po czasach lozańskich zresztą w jego życiu poezję zastąpiło szukanie okazji do konkretnego niepodległościowego czynu.

A jednak, mimo tych „nieromantycznych” wątpliwości czy działań, wszyscy oni pozostawali romantykami – przekonani, że w świecie, w którym rozpadają się stare instytucje i w którym Polacy w ogóle stracili państwo i pewność przyszłości, moralna odpowiedzialność jednostki, poświęcenie, wiara w możliwość rekonstrukcji ładu, niezgoda na niesprawiedliwość – stają się niezbędne dla przeżycia narodu.

Najważniejszym wątkiem polskiego romantyzmu stała się iście kantowska „obsesja odpowiedzialności” za Polskę, obowiązek reakcji na rzeczywistość – bez oglądania się na innych. Echo tego moralnego indywidualizmu wróci w kazaniu bł. Jana Pawła II na Wybrzeżu w 1987, w idei osobistego Westerplatte, które każdy

znajdzie w swoim życiu. Ten romantyzm etyczny nie implikuje ani „romantycznego światopoglądu”, ani millenarystycznej polityki. Może mieć doskonale realistyczny, a nawet ewangeliczny kontekst. Nie lekceważy ani świata, ani życia innych ludzi – niczego, prócz siebie.

Zeitgeist

Dla Polaków romantyzm to głęboko prześląknięte chrześcijaństwem dzieło naszych romantyków. Dla nich samych zresztą romantyzm był po prostu artystycznym i historycznym kontekstem twórczości. Wyjątkowe miejsce tego paradygmatu w polskiej tradycji przesłania nam jednak często rzeczywiste znaczenie przełomu romantycznego dla kultury europejskiej.

Tymczasem romantyzm dokonał w Europie zmiany kulturowej, której doświadczamy po dziś dzień. Wniósł ducha subiektywizmu do filozofii i polityki, a w końcu – i do etyki. Nadzieję religijną zastąpił – ściągniętą na ziemię – nadzieją polityczną. Stał się pośrednią inspiracją rewolucji lewicowych i nacjonalistycznych.

Romantyzm naznaczył świat współczesny, kto więc chce się zmagać z porewolucyjnym światem – musi się zmierzyć z romantyzmem. W romantyzmie zaś przewijają się stale dwa wątki: świadomość wpływu ludzkiej wolności, czyli po prostu wyborów moralnych – na bieg historii (co w jakimś sensie stanowi romantyczne „odkrycie”) i Rimbaudowskiej chęci *changer la vie*, ucieczki od nudy realnego świata. Ten drugi romantyzm jest niebezpieczny, gdyż nie odkrywa on piękna w świecie. Jak każda gnoza, żywi pogardę wobec widzialnej rzeczywistości, a z nią – dla odziedziczonej kultury, której kontynuacja czyni życie dobrym. Ten drugi romantyzm, obiecujący zmieniać życie, o wiele bardziej niż życie – interesują przeżycia.

Chrześcijaństwo tymczasem wierzy w dobro stworzonego świata, świata, który Bóg stworzył nie tylko dobrym (por. Rdz 1), ale więcej – uznał za zasługujący na zbawienie, a nie potępienie (por. J 3,17). Chrześcijaństwo wierzy w sens czasu, w którym Bóg kazał nam żyć. Doskonały humanizm, zrealizowany w życiu Zbawiciela, to – jak pisze o tym Joseph Ratzinger – istnienie całkowicie relacyjne, odniesione do Boga i innych. Do tego ideału zbliża się nieco *Wielka Improwizacja*, jednak miłość do milionów

kończy się tu na pragnieniu władzy. I to władzy nad ludzkimi sumieniami.

W oparach politycznego millenaryzmu

Karl Popper przekonywał, że utopia nieuchronnie prowadzi do przemocy. I zgodnie z jego słowami, romantyczne marzenie o całkowitej zmianie życia w nacjonalistycznych rewolucjach zrodziło pomysł zbudowania narodów od nowa, przełamania wielowiekowej „inercji” dotychczasowej historii... A to marzenie w praktyce ożywiało często (i nadal może ożywiać) nacjonalizm – przeciw własnemu narodowi.

¹ Gdy polski nacjonalizm, który pierwotnie zmierzał do dokonania radykalnie pragmatycznej przebudowy polskiej kultury, znalazł się pod dość powierzchownym zresztą wpływem „ducha czasów nowych”, jego ideał stał się, mimo używania bardzo wielkich słów – jak pisze Jan Dobraczyński – „mało określony. Walka o wielkość zamieniała się często w walkę na pięści i laski”.

² O bonapartyzmie mówię tu w sensie szerokim, w kontekście stosunku do kluczowego wydarzenia epoki, jakim była rewolucja francuska. Dla francuskiej opinii katolickiej Bonaparte był przede wszystkim

W XIX wieku Polska nie miała państwa, więc marzenia o totalnej zmianie społecznej rodziły jedynie millenaryzm polityczny, oczekiwanie na nową cywilizację, nową historyczną syntezę. Niestety, ani nieokreślone cele, ani odrzucenie dotychczasowej kultury nie może rodzić dobrej polityki¹. W skrajnej postaci maksymalistyczny millenaryzm wspierać mógł lewicowe idee rewolucji.

Podczas rewolucji 1905 Brzozowski pisał, że narodowo-demokratyczny program niepodległości to po prostu marzenie o polskiej szubienicy. Ale nie trzeba się przecież – jak Joseph de Maistre – zachwycać katem, by wiedzieć, że policja i prawo karne są ludziom zwyczajnie potrzebne. Ostateczne skutki tej niezdolności do identyfikacji z realnym państwem opisał Żeromski w „Przedwiośniu”.

„To jest pieśń pogańska”

Polski romantyzm oczyszczało chrześcijaństwo. Norwid i Krasiński byli (w perspektywie europejskiej) „bonapartystami” – ale obaj byli jednocześnie najbardziej przekonanymi obrońcami bł. Piusa IX, papieża *Syllabusa*. (Obrońcą papieża chciał być też Mickiewicz). Napoleon III dawał zresztą temu katolickiemu bonapartyzmowi realną podstawę².

jej kontynuatorem, dla polskiej – pogromcą jednocześnie rewolucji i nieludzkich potęg oraz restauratorem ładu.

Podobne wątki bonapartystyczne znajdziemy u tak wybitnych ludzi polskiego Kościoła jak prymas Woronicz czy abp Teodorowicz. Choć oczywiście o stosunku Polaków do Napoleona decydowały przede wszystkim niespełnione nadzieje niepodległościowe z czasów wojen napoleońskich i romantyczna polityka „praw narodów” Napoleona III.

Dziś jednak pojawia się „romantyzm”, którego polscy romantycy się bali. Jarosław Marek Rymkiewicz otwarcie mówi, że historia ma po prostu się dziać, ruszyć z miejsca, przerwać inercję, nudę, pospolitość codzienności. I nie należy pytać dokąd pędzi „żubr historii”, nie należy weryfikować kierunku, ważny jest ruch. Tak rozumiana historia nie jest odpowiedzialnością za ludzi, ale „pełnią życia”, krynicą przeżyć ponad marnością codzienności.

Warto przypomnieć w tym miejscu, że Jarosław Marek Rymkiewicz opowiadał kiedyś o seksualnych praźródłach swojej postawy politycznej. To samo usposobienie zauważyć można także u bohaterów powieści Bronisława Wildsteina, dla których akt seksualny bywa ukoronowaniem mocnych, patriotycznych przeżyć. Trochę jak w dyskotecę?

„Błędne koło”

Rymkiewiczowski neoromantyzm wyżywa się w egzaltacji wewnętrznej – i wieszczaniu zewnętrznego – konfliktu, pozostając jednak ślepy na rzeczywiste szanse i rolę Polski w dzisiejszym świecie. Jego lekceważenie dla moralnego wymiaru polityki – więc tego, że w ostatecznym rachunku musi odnosić się do zwyczajnego, dobrego życia ludzi – zapoznaje najpoważniejszą barierę polskiego rozwoju. Barierę, którą jest kryzys moralny, po części będący wynikiem komunizmu, po części świadomego odrzucenia wartości cywilizacji chrześcijańskiej w konsumpcyjnym świecie.

To właśnie konsumpcyjne społeczeństwo wybiera władzę pozbawioną poczucia odpowiedzialności narodowej. Oczywiście, polityka jest sztuką i – wykorzystując koniunkturę nastrojów społecznych – może odnieść sukces wyprzedzający zmiany społeczne. W tym zawiera się głęboki sens Maurrasowskiego *la politique d’abord*. Jeśli jednak zmiana polityczna nie staje się narzędziem i inspiracją głębszych zmian społecznych – jak na Węgrzech – zawsze, naturalną kolejną rzeczą, okazuje się chwilowa, pozorna, choć może o własną jałowość obwiniać cały świat.

„Nie skończona dziejów jeszcze praca”

Polacy są jednym z najliczniejszych narodów Unii Europejskiej. Jako tacy jesteśmy powołani do kształtowania opinii chrześcijań-

skiej w Europie, animowania współpracy państw Europy Środkowej, angażowania Zachodu we wspieranie zmian w Europie Wschodniej. Wszystko to łączą trzy elementy: wzmocnienie niepodległości Polski, wspólne dobro narodów Europy i wpływ Polski na zewnątrz. Umiejętność harmonizacji tych zadań stanowi o dobrej konserwatywnej polityce.

Owszem, nie ma możliwości realizowania w pełni takiej polityki przy obecnej władzy. Mamy dziś rząd, który zgadza się na konfiskatę – najbardziej elementarnych – suwerennych kompetencji państwa, legalizuje po cichu dzieciobójstwo prenatalne, abdykuje w sprawie śledztwa smoleńskiego, zachowuje kompletną bierność w obliczu katastrofy demograficznej.

Żaden mandat demokratyczny nie upoważnia władzy do działania wbrew dobru wspólnemu narodowi, ale to nie zwalnia nas z odpowiedzialności za sprawy polskie. Wolność polityczna wszystkich, a szczególnie inteligencję, czyni współodpowiedzialnymi za stan opinii publicznej, za przekonania Polaków. Przede wszystkim zaś prawdziwa polityka (rzecz znacznie większa od ambicji polityków) polega na poważnym stosunku do całości życia narodowego: do każdej ustawy, każdego traktatu, każdej decyzji władzy publicznej i każdego składnika dobra wspólnego narodu. Obojętność w tej dziedzinie, odkładanie prowadzenia realnej polityki na czas spełnienia millenarystycznych marzeń, nie ma nic wspólnego z ambicją narodową, jest jedynie efektywnym parawanem narodowego indyferentyzmu.

Tymczasem nasi neoromantycy szkoły Rymkiewicza marzą nie o silnej Polsce, ale o wojnie domowej. Śnią raz o „wieszaniu”, raz o rokoszach. Na szczęście Polskę ratuje nasz realizm – to, co Gombrowicz brał za niedojrzałość, a co jest po prostu zdrowym, moralnym rozsądkiem – wynikiem głębokiego uwewnętrznienia chrześcijaństwa w naszej kulturze.

W kartezyjańskiej Francji, gdy prezydent de Gaulle zdecydował się oddać Frontowi Wyzwolenia Narodowego algierskie departamenty – nacjonalistyczna opozycja stwierdziła, że władza, która zaprzeczyła niepodzielności Republiki przestała mieć charakter legalny, więc czas zacząć podkładać bomby. Georges Bidault, który był pocziwym chadekiem (choć w czasie wojny stał na czele podziemnej Krajowej Rady Ruchu Oporu), zszedł ponownie do

podziemia, by odtworzyć po dziewiętnastu latach *Conseil national de la Résistance* i pokierować politycznie partyzantką miejską OAS. Nasi pseudo-Mickiewiczze może marzą o takich mocnych przeżyciach, ale na razie spokojnie siedzą na Kaszubach. Pewnie pocieszają się tym, że i prawdziwy Mickiewicz na Moskali maszerujących ku Warszawie patrzył jedynie oczyma duszy, słuchając muzyki w wielkopolskich dworach.

„O Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!”

Dobra polityka nie rodzi się z nudy, ale z dobrego życia – z chęci przekazania innym tego, czego pragniemy dla własnej rodziny, co sami chcemy ocalić jako cenne. Obrona ojczyzny jest jednocześnie obroną własnego domu. Polityk, dla którego w życiu najważniejsza jest wygoda, nie będzie skutecznie bronił ładu moralnego. Polityka zrodzona z potrzeby mocnych wrażeń nie zrealizuje pokoju społecznego. A walka? Tak, jest potrzebna, wręcz, w niedoskonałym ludzkim świecie, nieunikniona tam, gdzie w obronie pokoju trzeba się przeciwstawić siewcom bezładu, gdzie trzeba upomnieć się o prawa własnej wspólnoty, obronić tych, za których odpowiadamy.

Chrześcijaństwo i Polska zawsze będą potrzebować ludzi gotowych do poświęcenia dla ogółu. Zapisany w polskim romantyzmie apel do jednostki, do jej poczucia **większej** odpowiedzialności, był bardzo ważną intuicją w społeczeństwie, w którym rycerstwo przestawało (a u nas po prostu nie mogło) być stanem społecznym, stawało się stanem ducha. Można porzucić dom, ale nie miłość do domu i rodzinę. Właśnie tych **większych dóbr** (w wymiarze społecznym, nie osobistym) broni każde autentyczne poświęcenie. Niektórzy wyznawcy współczesnego neoromantyzmu nie dlatego nie potrafią tego zrozumieć, iżby prowadzili życie (mówiąc językiem naszych przodków) niepocziwie, ale dlatego, że nie potrafią się takim życiem cieszyć, nawet jeśli je prowadzą.

„Powietrze czuć swobodą”

Przez ostatnich trzysta lat w Polsce poczucie państwa częściej realizowało się przez pragnienie państwa (lub jego radykalnej naprawy) – niż przez działalność w jego instytucjach. Na Zachodzie

państwa po prostu trwały. W Wielkiej Brytanii rewolucja zmieniła jedynie dynastię, instytucje pozostały te same. We Francji zburzyła instytucje centralnej władzy, ale w pozostałych – w armii, w samorządzie, w akademii – przetrwał w wielkim stopniu duch Francji katolickiej. W Polsce zniszczonej przez zabory (a nieco ponad ćwierć wieku po nich przez komunizm) „elitą państwa” – państwa ciągle nieureczywistnionego – stawali się potomkowie Ignacego Rzeckiego. To oni byli zawsze gotowi upomnieć się o prawa ojczyzny. Brak niepodległości przeżywali niczym Studnicki opisany przez Cata – jako osobiste nieszczęście. To ci ludzie w czasach najtrudniejszych przychodzili na Msze za ojczyznę, stawiali bohaterom lampki na cmentarzach, zapełniali sale wykładowe przy kościołach. Oni byli zawsze ostatnim szeregiem obrońców sprawy polskiej. Na nich zawsze można było liczyć. Oni przechowywali ideę państwa polskiego.

Potomkowie Rzeckiego – jak ich protoplasta – często budzili jedynie politowanie. Niesłusznie. Mądra Polska powinna ich szanować i kochać – jak Wokulski kochał swego Ignacego. I powinna ich chronić. Bo ich autentyczne poświęcenie powinno służyć przyszłości Polski, a nie rymkiewiczowskiemu nihilizmowi czy histerii jego naśladowców.

Niezbędność konserwatyzmu

W czasach rozpadu porządku – narodowego czy uniwersalnego – ludzie tracą oparcie, które mieli w instytucjach. Walka o zmianę społeczną staje się moralną koniecznością, bo zalegalizowany bezład nie staje się porządkiem przez to, że posługuje się instytucjami państwa. By ładu bronić – trzeba go najpierw odbudować.

Romantyzm w Polsce był kulturowym wyrazem walki o niepodległość, pragnienia powrotu do realnej historii – a nie jej odrzucenia. Jako romantyzm nie był wolny od duchowych pokus. Ze zmagania z nimi powstała wielka literatura, niezwykle zapis duchowego doświadczenia narodu. Romantyzm nie egzaltował się sobą i zachował zdolność samorefleksji moralnej. Stał się częścią polskiej rzeczywistości, nieusuwalną częścią narodowej tradycji. Ale nie jedyną i nawet nie najważniejszą – o czym trzeba pamiętać, jeżeli duchowe rozterki romantyków mają zachować sens.

Natomiast prawdziwie realną – bo zachowującą wartość dla spadkobierców – politykę prowadzili w czasach historycznego romantyzmu nie ci, którzy wyniośle odwracali się od dążeń Polaków i nie ci, którzy za nimi ślepo szli, ale politycy tacy jak książę Adam Czartoryski i Romuald Traugutt³. Ci wszyscy, którzy starali się sprawie niepodległości nadać polityczny kierunek, zbudować przywództwo narodowe, połączyć sprawę polską ze sprawą cywilizacji chrześcijańskiej. Ich nonkonformizm – pełny, bo wobec opinii publicznej i wobec własnych uczuć – realizował najbardziej serio to, co w postawie romantycznej najlepsze. Nie sprzyjał im czas i okoliczności. Ale zostawili oni testament polityczny, który w pełni zrealizować może wolna Polska. I testament moralny dla polskiego sumienia. Jest o co walczyć. ■

Polacy przynieśli pociechę wraz z powrotem znacznej części narodu bułgarskiego do jedności katolickiej. Ówczesna solidarność walcząca o niepodległość Polski z papieżem i solidarność Rzymu ze sprawą polską – to wielka, czekająca na przebudzenie, tradycja.

³ Obok Norwida i Krasińskiego to dwaj kolejni duchowi synowie bł. Piusa IX. Traugutt wspaniale pisał do papieża o moralnym sensie polskiej walki o niepodległość. Książę Adam na łożu śmierci cieszył się, że udręczonemu ojcu świętemu